

## Zapraszamy na drugą część rozdziału **GORYCZ SUKCESU**.

Namioty bazowe rozstawiamy kilkadziesiąt metrów od bazy wyprawy francuskiej na Gasherbrum II, kierowanej przez Pierre'a Fresafonda. Baza znajduje się na wysokości 5150 m. Widać z niej nasze szczyty. Dzieli od nich uskok lodowca Gasherbrum Południowy – około 600 metrów różnicy wysokości. Dzięki Francuzom nie musimy szukać przejścia przez niebezpieczny lodowy labirynt. Oni przemierzali go wielokrotnie. Teraz kończą działalność górską.

18 czerwca Yannick Seigneur i Marc Batard z ostatniego obozu, leżącego na wysokości około 7600 metrów, wchodzą na Gasherbrum II. Po zdobyciach z 1956 roku jest to drugie wejście, ale dokonane nową drogą, prawą grzędą. Tą drogą zamierzali pójść nasi koledzy. Teraz, nawet gdyby mieli zezwolenie na Gasherbrum II, zostali pozbawieni przez Francuzów możliwości zrobienia nowego przejścia. Pozostało im tylko wchodzenie wraz z zespołem kobiecym aż do przełęczy między Gasherbrumem II a Gasherbrumem I i poprowadzenie nowej drogi od przełęczy.

Ponowny atak Francuzów na Gasherbrum II nie udaje się. Louis Audobert uchodzi z życiem, ale jego partner, Bernard Villaret, pozostaje w górach na zawsze, w małym namiocie ostatniego obozu na wysokości 7600 metrów. Niepogoda uniemożliwia akcję ratunkową. Francuzi opuszczają bazę i schodzą z karawaną do Skardu. Pozostajemy w górach sami, wciąż mając przed oczyma czerwoną plamkę namiotu na grzędzie Gasherbrumu II...

Od 19 czerwca do 10 lipca zakładamy trzy obozy. Pierwszy na wysokości około 6000 metrów, na wspaniałej równinie górnego piętra lodowca Gasherbrum Południowy, rozlewającego się w dolinę podchodzącą do stóp wszystkich Gasherbrumów – od I na VII kończąc. Z obozu I jak na dłoni widzimy całą dalszą drogę lewą grzędą Gasherbrumu II. Na niej 4 lipca, na wysokości 6500 metrów, stanęły namioty obozu II, następnie zaś o 850 metrów wyżej, u lewego skraja podstawy piramidy szczytowej Gasherbrumu II, założyliśmy obóz III.

Podczas tych dni wielokrotnie wychodziliśmy z bazy z ładunkami i wracaliśmy po następne lub na wypoczynek. Prawie na całej wysokości grzędy rozpięliśmy liny poręczowe. Założyliśmy też ubezpieczenia na uskoku lodowca. „Oswajaliśmy” górę, przygotowując się do dnia, kiedy zdobywszy aklimatyzację, ponownie ruszymy do obozu III, by następnego dnia zmierzyć się

z nieznanym – zdobyć dziewiczy Gasherbrum III i poprowadzić nową drogę na Gasherbrum II.

Ofiarnie nosiliśmy ładunki: mężczyźni po 15, kobiety po 10 kg. Przy zakładaniu obozów i zaopatrywaniu ich starałam się jak najczęściej być w górze. Chciałam wszystkiego sama dotknąć, zobaczyć, by nie polegać tylko na relacjach i opiniach innych. Do nielicznych bowiem miałam zaufanie, przede wszystkim do tych, których znałam z wypraw w Hindukusz czy Pamir. Mogłam zawierzyć bez wahania Onyszkowi, Pomurnikowi i Brodaczowi – że obóz można postawić tylko w tym miejscu, że niebezpieczny, lawiniasty odcinek należy minąć w taki, a nie inny sposób. Jednak chciałam być obecna przy takich decyzjach. Chciałam wiedzieć, jak naprawdę wygląda teren, poznać trudności i testując siebie, poznać, jaki wysiłek jest potrzebny na ich pokonanie.

Więcej niż połowę dni spędziłam powyżej bazy, kursując między górnymi obozami, układając często tam, w górze, „grafiki” – plany ruchów poszczególnych zespołów, z którymi mijałam się po drodze, pilnując odpowiedniego zaopatrzenia obozów w żywność, sprzęt i paliwo, komunikując się z pozostałymi przez radiotelefon. Starałam się tak planować akcję, by zespoły kobiece towarzyszyły męskim, by nie było zdecydowanej przewagi jednych lub drugich. Skład zespołów, zaplanowany na początku, zmieniał się w czasie trwania wyprawy. Choroby, kontuzje i niedyspozycje przegrupowały uczestników. W miarę możliwości starałam się pilnować tylko tego, aby każdy miał dobrą aklimatyzację i co najmniej raz przekroczył 7000 metrów.

W bazie mieszkalam w namiocie sprzętowym sama. Sądziłam, że jako osoba decydująca o składzie zespołów szczytowych nie powinnam wiązać się z określonym zespołem, a raczej być trochę na zewnątrz wyprawy. Wyobcowanie towarzyskie i rzadkie pobyty w bazie sprawiły, że nie wiedziałam, co dzieje się na wyprawie.

A działo się coraz więcej...

Zazwyczaj na wyprawie wszystko widać niezwykle wyraźnie przez ograniczenie czasu, miejsca i liczby osób. Jesteśmy razem w bazie, razem działamy w górach, w ściśle określonym czasie musimy osiągnąć cel, bo – na przykład – później nie starczy nam żywności. Nam – to znaczy ciągle tym samym osobom, których nie można wymienić na inne. Ta ostrość widzenia wynika tak-

że ze stresów, głodu, zmęczenia, strachu i niepokoju. Również z tego, że ludzie są nieustannie w fizycznej bliskości i widzą siebie twarzą w twarz, bez możliwości zachowania prywatności życia. Obraz jest ostry, czarno-biały, bez półtonów. Wszystko jest jednoznaczne – złe albo dobre, miłe albo nienawistne. Reakcje na tę jednoznaczność są odpowiednio kontrastowe – od agresji i niechęci czy wręcz nienawiści do pełnej akceptacji czy bezkrytycznego uznania. Poprzez fakt, że wydarzenia zachodzące na wyprawie widoczne są jak na dłoni, obserwatorom wydaje się, że widzą wszystko. Ale każdy widzi obraz wyprawy tak, jak pozwala mu na to jego zdolność postrzegania i wyciągania wniosków. Czasem zaś widzi tylko to, co chce widzieć.

Jak już wspomniałam, zakładałam, że poczynania zespołu będą zmierzały wyłącznie ku celowi, nie będzie działań odśrodkowych. Rzeczywistość okazała się inna. Uczestnicy byli naprawdę zaangażowani w osiągnięcie celu, pracowali bardzo ofiarnie w górach, podporządkowywali się nawet tym decyzjom, których nie akceptowali. Ale nie przestawali kalkulować i nie zapominali o sobie.

W poszanowaniu ich jako jednostek chcieli znaleźć wyzwolenie od ciągłego stresu i poczucia zagrożenia, którego źródłem były góry. Stąd większość nie przestała być wrażliwa na formy. A ja, były zdyscyplinowany zawodnik innych dziedzin sportu, nie zważałam na nie. Siebie i innych traktowałam trochę instrumentalnie. Podporządkowałam ludzi grafikom, wykresom akcji i kalkulacjom strategicznym dość bezceremonialnie. Prowadziłam strategię wojenną, a oni pragnęli pokojowej i uporządkowanej. Pomimo tych rozbieżności akcja górską rozwijała się sprawnie.

Mimo założenia trzech obozów na pierwszy sukces przyszło czekać całe trzy tygodnie. Od 10 lipca trwały akcje dalszego zaopatrywania obozów.

19 LIPCA pierwszy zespół szczytowy opuścił bazę. Są w nim Leszek, Marek, Pomurnik i Onyszek. Ponieważ oficer łącznikowy na własną rękę udzielił im zezwolenia na Gasherbrum II, zamierzają wyjść na przełęcz i z niej zdobywać szczyt.

Dzień później, 20 lipca, wychodzi sześciuosobowy zespół kobiecy, z którego wyłoni się czteroosobowy zespół szczytowy. Są w nim Alka, Alison, Czerwosia, Halina, Anka i ja. Następnego dnia bazę opuszcza zespół rezerwowy: Krystyna, Brodac, Łapa, Saeed i Marysia.

Pogoda miesza szyki. Wszystkie zespoły przeczekują zamieć w obozach III, II i I. W końcu wycofują się do bazy.

Następne próby wejścia na przełęcz trwają aż do 31 lipca. Tego dnia zespół kobiecy i męski podchodzą do obozu III. Idziemy razem ze względu na konieczność torowania drogi w głębokim, świeżym śniegu.

1 SIERPNIĄ rozdzielamy się. Leszek, Onyszek i Pomurnik idą w prawo – na Gasherbrum II, ja z Haliną na lewo – pod wschodnią grań Gasherbrumu III. Grań jest bardzo trudna i nie rokuje nadziei na zdobycie szczytu w ciągu jednego dnia. Wycofujemy się więc. Natomiast koledzy wchodzą od strony chińskiej na Gasherbrum II. Nowa droga prowadzi śnieżną ścianą, w połowie wysokości przeciętą pasmem skał. Jest pierwszy sukces.

Gasherbrum III pozostaje nadal niezdobyty, mimo że już od 6 tygodni działamy w górach. Wszyscy są już górami i sobą wzajemnie zmęczeni. W dyskusjach nad dalszą akcją Anka i Leszek uważają, że nie wykorzystaliśmy do tej pory wszystkich szans, ale nie mamy już żadnych i należy wracać.

Nie podnosiłam głosu, nie krzyczałam, nie klęłam, nie dawałam się sprowokować, nawet pod wpływem silnych stresów. Nie tych spowodowanych górami, lecz zachowaniem zespołu. Akceptowałam krainę lodu, śniegu i skał, uważałam za coś zupełnie naturalnego swój pobyt tutaj, z dala od domu, bliskich i zwyczajnej codzienności. Nie męczyło mnie tak długie tu przebywanie, nie chciałam się wyrwać do domu. Lubiłam lodowiec, nasze szczyty. Trochę też bałam się, byłam więc bardzo ostrożna. To rzutowało na sposób planowania akcji górskiej i poruszania się zespołów.

W stosunku do siebie wyczuwałam narastającą niechęć. Odbierałam ją tak, jakby wszyscy byli przeciwko mnie, choć była to niechęć tylko kilku osób, która jednak zarażała innych, biernych lub obojętnych, którzy nie atakowali, ale i nie bronili mnie.

W dyskusjach prowadzonych w bazie widziałam podobieństwo w dyskusjami na zebraniach klubowych, typowymi dla środowiska warszawskiego.

Wrocławskie środowisko, w którym wyrosłam, było zupełnie inne. Nieco rodzinne, serdeczne, tolerancyjne, pobłażliwe dla słabostek innych. Wiedziałam, że jestem lubiana, nawet gdy podśmiewano się z moich błędów. Stanowiliśmy zżytą grupę, do której czułam bardzo silnie swą przynależność. Natomiast środowisko warszawskie, skupione w dużym klubie, nie stanowi-

ło jednego zespołu. Składało się raczej z koterii skupionych wokół przywódców, wybitniejszych osobowości czy ludzi z władz klubowych. Walka o władzę, znaczenie i możliwości realizacji własnych ambicji, była prowadzona metodami walki politycznej.

Duża, wieloosobowa wyprawa tego klubu, jaką była nasza, zachowała wiele cech swego środowiska. Poznałam na niej minispoleczność jakże różną od tej sprzed trzech lat, z wyprawy na Noszak. A spodziewałam się takiej samej, entuzjastyczno-rodzinnej. Nie zmieniając nastawienia i struktury osobowości, wszłam w układ bardziej skomplikowany, nietolerujący struktur tego typu. Kilka osób niechętnych, z zadawnionymi urazami do mnie, moje nastawienie oraz błędy wystarczyły, by nastroje zespołu zaczęły się polaryzować na „nie”.

Zespół nie czuł się przeze mnie szanowany, był dotknięty, że nie liczę się z jego zdaniem. A przecież liczyć się ze zdaniem dwudziestu osób jest niezwykle trudno. Demokracja nie jest najlepszą metodą prowadzenia dużych wypraw himalajskich.

Po raz pierwszy alpinistki, zdobywające dotychczas doświadczenie pojedynczo przy męskich wyprawach, nie znając swych możliwości, próbowały działać razem. Działać pod presją – pierwsza kobieca wyprawa! Jeśli się nie uda, może pogrzebać przyszłe szanse kobiet w alpinizmie, tak jak w Związku Radzieckim śmierć ośmiu alpinistek na Piku Lenina zahamowała na długie lata rozwój samodzielnego alpinizmu kobiecego.

Nie miałam dużego zaufania do tych współtowarzyszek, które nigdy lub rzadko wspinały się w zespołach kobiecych, a sukcesy swe osiągały biernie – nie podejmując decyzji za innych, nie odpowiadając za nic i za nikogo. Jednocześnie potrzebowałam konsultacji z zespołem przy planowaniu akcji. Szybko zorientowałam się, że nie mogę pozwolić sobie na dyskusje bez przygotowania, na rozterki czy wahania. Moje wypowiedzi były traktowane jako ostateczny wyraz mego stanowiska. Oczekiwało ode mnie propozycji, by móc się do nich ustosunkować, skrytykować je bądź pochwalić. A ja potrzebowałam twórczej, przyjacielskiej „burzy mózgów”, roboczej dyskusji niezobowiązującej mnie do niczego przed podjęciem ostatecznej decyzji.

Próby „burzy mózgów” nie powiodły się. Zdania były rozproszone, czasem niewynikające z przekonania, ale z chęci wykazania się przed pozostałymi. Kiedy indziej były to wzorce zaczerpnięte z innych wypraw, nie-

uwzględniające specyfiki naszej wyprawy. Słowem, nie były to zdania jednako znaczące i wartościowe na tyle, by można było na ich podstawie konstruować zdanie demokratycznej większości. Dlatego na robocze dyskusje pozwalałam sobie jedynie w małym gronie, z Onyszkim czy Pomurnikiem, odsłaniając się bez obaw, że moje słabości czy rozterki będą dyskutowane poza moimi plecami. Do Haliny, jak i do reszty zespołu, przychodziłam z gotowym już planem. Dyskusja w szerokim gronie była mi potrzebna najczęściej wtedy, gdy chodziło o sondaż opinii uświadamiający mi, w jakich warunkach plan będzie realizowany.

Można twierdzić, że kierownik kształtuje zespół i atmosferę w zespole. Ale również zespół kształtuje kierownika. Jeśli nie mogą nawiązać kontaktu, jeśli powstanie taka sytuacja, jaka wytworzyła się podczas podejścia do bazy, to jedynym rozsądnym wyjściem dla kierownika jest zaprzestanie prób nawiązania kontaktu z zespołem. Bo od pewnego momentu, momentu utraty zaufania i akceptacji, kontakt jest niemożliwy. Wszystko, cokolwiek kierownik zrobi, będzie złe. Ponieważ jednak musimy być razem do końca i nie można powiedzieć: „To ja się z wami nie bawię i jadę do domu”, trzeba stać się „twardym”. Nie kokietować, tylko narzucać, wymagać i stanowczo egzekwować swe prawa kierownika.

Działanie „twardą ręką” to najczęściej wynik przegranej władzy, metoda środka ostatecznego. Kierownik i zespół zmagający się ze sobą to coraz szybciej obracające się koło. Może nastąpić taka sytuacja, w której kierownik, traci zbyt wiele sił na spory z zespołem zamiast na góry, a zespół może zapomnieć, po co przyjechał w góry. Stając w opozycji do kierownika gotów jest przegrać, byleby ten nie wygrał. Pierwsze głosy za odwrotem wprawiły mnie w konsternację. Nie zdawałam sobie sprawy z faktu, że wyprawa jest już zmęczona, zbyt długo poddawana najróżniejszym stresom.

3 SIERPANIA odbywa się w bazie dyskusja nad planem akcji szczytowych. W jej wyniku zapadają postanowienia: w góry wyruszą trzy zespoły w różnych terminach.

Pierwszy zespół, w skład którego weszli Brodac, Łapa i Marek, zaczął podchodzić do obozu I już następnego dnia. Po okresie niepogody i opadów śniegu rola pierwszego zespołu była bardzo ważna. Mając prawo wchodzenia na Gasherbrum II drogą Austriaków, przygotowywali tym sa-

mym drogę dla następnych zespołów, torując szlak i odkopując spod śniegu namioty.

Następny zespół: Alisonka, Janusz, Pomurnik i ja miał wyjść z bazy 6 lub 7 sierpnia, jednak wyszliśmy dopiero dzień później. Rozpoczęcie akcji przez nasz zespół opóźniła wiadomość, przyniesiona przez Ewę z bazy wyprawy wrocławskiej: 28 lipca w szalejącej wichurze ginie w zejściu trzech z pięciu zdobywców szczytu Broad Peak Middle. Jesteśmy wstrząśnięci tą tragedią, zginęli nasi najbliżsi koledzy: Marek Kęsicki, Bohdan Nowaczyk i Andrzej Sikorski.

9 SIERPNIĄ wyrusza do obozu I trzeci zespół – Anka, Halina, Krystyna i Saeed. Tego dnia, przy pięknej pogodzie, na szczycie Gasherbrumu II staje pierwszy zespół. To już drugi sukces wyprawy.

Powyżej bazy na różnych wysokościach znajduje się w sumie 11 osób. W bazie pozostali tylko chorzy i kontuzjowani: Leszek z odmrożonymi stopami, Marcysia – z zapaleniem krtani, Czerwosia – z nogą w gipsie i Alka – ze skaczącym ciśnieniem. Opiekuje się nimi lekarz wyprawowy, Marysia. W bazie znajduje się również Ewa, która tak nieoczekiwanie dołączyła do wyprawy.

Jest to nasz ostatni zryw, ostatnia szansa zdobycia Gasherbrumu III. Na powtórny atak nikt nie miałby już siły...

Zadania drugiego zespołu były podzielone. Alisonka i ja – zakładanie lin poręczowych na wschodniej grani Gasherbrumu III, czyli przygotowanie drogi dla dziewcząt z trzeciego zespołu. Ubezpieczają nas Onyszek i Pomurnik – mieli pozostać na przełęczy podczas naszej akcji. Gdyby okazało się to możliwe, mogłybyśmy podjąć próbę dojścia aż do szczytu, w co nie bardzo wierzyłam. Po niepowodzeniu naszej próby do akcji miały wejść Anka, Halina i Krystyna. Gdybyśmy jednak zdobyły szczyt, dziewczyny miały iść na Gasherbrum II drogą Austriaków razem z oficerem łącznikowym. Saeed wyraził zgodę na atakowanie tego szczytu przez zespół kobiety pod warunkiem, że będzie mógł iść z tym zespołem. Chciał mieć szansę zostania „najwyższym Pakistańczykiem”, pierwszym na wysokości ponad 8000 metrów.

11 SIERPNIĄ o godz. 7.30 drugi zespół – po noclegu w obozie III – osiąga przełęcz. Rozstawiamy namioty i o 8 przystępujemy do ataku na Gasherbrum III, lecz nie wschodnią granią, a śnieżno-skalnym kuluarem w środku wschodniej ściany. Zmianę planu spowodowała prognoza pogody, która

na popołudnie przewidywała zamiecie i wiatr o szybkości 20–35 węzłów oraz temperaturę minus 24° C. Wobec zbliżającego się pogorszenia pogody należało wejść na szczyt w ciągu jednego dnia. A tylko kuluar stwarzał taką możliwość. Trzeba było więc połączyć siły i całą czwórką torować drogę w śniegu. Po żmudnej wspinaczkę przez progi skalne, w stromym i kopnym śniegu, o 18 stanęliśmy na szczycie. Główny cel wyprawy został osiągnięty, choć nie w taki sposób, jak było to planowane. Po czterech godzinach, częściowo zjeżdżając na linach, wróciliśmy do namiotu na przełęczy.

Następnego dnia, mimo pesymistycznych prognoz, pogoda wciąż była dobra. Zgodnie z planem alternatywnym z obozu III ruszają dziewczęta z Saadedem. Anka idzie bez raków – zagubiła je gdzieś w śniegu. W połowie drogi zaśląb Saeed. Krystyna postanawia sprowadzić go z powrotem do obozu III, swoje raki zaś oddaje Ance. Około 16 Anka i Halina stają na szczycie Gasherbrumu II. Są pierwszymi kobietami, które bez mężczyzn zdobywają ośmiotysięczny szczyt. Bez kłopotów wracają do obozu III, gdzie czekam na nie z Krystyną jako zespół asekurujący.

Kusi mnie, by następnego dnia – pogoda wciąż dobra! – wejść z Krystyną na Gasherbrum II. Mimo trudnej wspinaczki na Gasherbrum III i trzech nocy spędzonych na wysokości ponad 7000 metrów czuję się bardzo dobrze. Jednak rezygnuję. To wejście nie jest wyprawie potrzebne, a stanowi dodatkowe ryzyko...

Wyprawa zdobyła dziewiczy szczyt, wprowadziła zespół kobiecy na Gasherbrum II drogą austriacką, poprowadziła nową drogę na ten szczyt i dokonała jeszcze jednego wejścia drogą austriacką. Dziesięciu uczestników wyprawy stanęło na wierzchołku, w tym dwóch na obu szczytach.

Kiedy wszyscy zeszlśmy do bazy, a parę dni później wrócił również zespół likwidujący obozy wysokie, można było powiedzieć, że wyprawa zakończyła się szczęśliwie. Ale nastrój daleki był od entuzjazmu. Wyniki były inne od zamierzonych. Na Gasherbrumie III stanęli również mężczyźni, mimo że zezwolenie władz miał tylko zespół kobiecy. Ten cel numer jeden wyprawy miał być tylko zdobyczą pań. Z kolei Gasherbrum II zdobyły też kobiety, mimo że był to cel zespołu męskiego.

Po powrocie do kraju rozpoczęły się przetargi, czyj sukces był ważniejszy. Pomimo oficjalnego uznania władz klubowych dla wyników wyprawy i dla



mnie jako jej kierownika środowisko długo ekscytowało się wewnętrznymi sporami zespołu, podjudzane żalami zawiedzionych uczestniczek.

Obraz wyprawy, jaki powstał w wyniku tej akcji, a także dzięki filmowi Zająca, nie wystawiał najlepszego świadectwa ani uczestnikom, ani mnie. Film, a właściwie jego autorzy nie byli wobec wyprawy fair. Ukazali tylko drugą, gorszą stronę medalu. Przysłoniła ona tę, która mówiła o wspaniałej, wspólnej walce zespołu, o zmaganiach z mrozem, śniegiem, wiatrem i wysokością, o pokonaniu samego siebie, strachu, słabości, zmęczenia, o walce z własnym zwątpieniem. I o tej największej radości – zdobycia szczytu. A ja, choć wygrałam, bo musiałam, nie mając innego wyjścia, gorzko odczułam smak tego zwycięstwa.